

CZERNIDŁO

RONAN WEAVER

NIGHT OWL

Copyright © 2025 by Ronan Weaver

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana w jakiejkolwiek formie i w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody autora, z wyjątkiem cytatów wykorzystywanych w recenzjach i w granicach dozwolonego użytku.

ISBN 978-83-977838-0-5

Dla Ani i Julki

*„Tak go szcaruje śpiew tych Syren słodkoptynny,
Które siedzą na łące, a wkoło nich gnaty
Ludzkie leżą stosami i ciał wyschłych szmaty.”*

– Homer, „Odyseja”
tłum. Lucjan Siemieński

TRUP

Thomas Wilfred obudził się razem z porannym brzaskiem. Robił tak od lat, choć na starość zdarzało mu się budzić coraz wcześniej. Wstał z łóżka i obmył twarz wodą z metalowej miski, stojącej na taborecie pod ścianą. Wytarł się kawałkiem starej szmaty i ruszył tylnym wyjściem, żeby skorzystać z wychodka za domem. Poranna bryza uderzyła jego wilgotną jeszcze twarz i poczuł się młodszy. Kochał morze i wiatr, nawet wtedy, kiedy fale się wzburzały i wichura ciągnęła go na pustkowia ciemnego oceanu. Dzisiejszy dzień był spokojny, a podmuchy zimnego powietrza orzeźwiający.

Dom stał na niewielkim wzgórzu, gdzie zachodnie wiatry smagały odłazącą od ścian niebieską farbę, odsłaniając jego gołe mury. Mężczyzna wrócił do środka i wyjrzał przez wschodnie okno. Morze wydawało się spokojne, jakby jeszcze się nie obudziło z własnego snu. W dole widział plażę. Parę osób kręciło się po niej, wyglądając jak grupka nieporadnych mrówek. Włożył wełniany sweter i czapkę, a potem dźwigając ciężki żagiel, wyszedł przed dom.

Wąska ścieżka prowadziła do przystani po lewej stronie, a po prawej odbijała w kierunku plaży. Schylił się przy

drzwiach i przełożył trochę śledzi z małej skrzynki do metalowego wiadra z wieczkiem. Zabrał je ze sobą, kiedy ruszył bez pośpiechu w kierunku mariny.

Z daleka zauważył go chłopak. Był już prawie dorosły, ale Thomas nadal zwracał się do niego, jakby ten miał osiem lat. Znał dzieciaka od małego i nauczył go łowić ryby. Młodzieniec maszerował ścieżką pod górę, widocznie rozgorączkowany. W chwilę później był na tyle blisko, że Thomas mógł usłyszeć, co mówi.

– Znaleźli trupa! – powiedział, przekrzykując wiatr.

– Co? – zapytał Thomas.

– Trup. Leży na plaży.

– Kto to?

Chłopak stał już blisko i mogli swobodniej rozmawiać.

– Nie ma pewności, ale mówią, że stary Irving.

Thomas, wzdychając, popatrzył na horyzont i ciemne chmury szybko przesuwały się po jasnym niebie.

– Pomóż mi to zanieść – powiedział i skinął głową w kierunku żagla spoczywającego na jego ramieniu.

Młody doskoczył do płótna, chwycił je i obaj ruszyli do przystani. Zrzucili wszystko na pokład starej, próchniejącej łodzi, a potem chłopak poprowadził mężczyznę wzdłuż brzegu do miejsca, gdzie leżały zwłoki. Thomas zatrzymał się na moment, żeby wykaszleć poranne pozostałości flegmy, splunął wśród czarnych kamieni i ruszył dalej.

Dotarli do miejsca, gdzie piętrzyły się skały, a nad ich głowami wznosił się klif. Pod omszałym nawisem stała grupka głośno dyskutujących ludzi. Wszyscy podobni do siebie: brodaci, z kaszkietami na głowach i twarzami pooranymi głębokimi zmarszczkami, ogorzałymi od wiatru. Stali z pochyłymi głowami. Fale spienionej wody grzmociły w skały za ich plecami, a mewy głośno skrzeczały gdzieś w górze, domagając się resztek.

– Thomas – zawołał jeden z rybaków. – Wiesz kto to?

Thomas zbliżył się i spojrział na ciało wyrzucone przez fale. Ledwie rozpoznawalny zlepek kości, mięsa i poszarpanych ubrań. Brakowało dolnej połowy ciała, a górna była nadgryziona – z bliska można było dostrzec liczne, głębokie bruzdy po rekinich zębach. Widział wystające z klatki piersiowej żebra, kawałki ciała, które powinny znajdować się wewnątrz. Poszarpane ubrania zlewały się z rozerwaną skórą, tworząc nierozróżnialny zlepek tkanek. Z twarzy zionęły czernią dwa oczodoły. Thomas rozpoznał Irvinga – nie po twarzy ani ubraniach, ale po jego tatuażu na jedynej, obecnej jeszcze dłoni. Wydziergany domowymi metodami obrazek, przedstawiał wschód słońca między górami i lecącego krzyżodzioba.

– To stary Irving – powiedział. – Co mu się stało?

– Nie wiemy. Wygląda, jakby się utopił i dobrały się do niego rekiny – powiedział rybak.

– Dziwne to. Nie pływał od dobrych paru lat.

– Niby tak, ale widzisz, co tu jest. Na plaży sobie tego nie zrobił.

– No i nie ma jego łódki – dodał ktoś inny.

– Co z nim zrobicie?

– Załadujemy na nosze i zaniesiemy do chłodni. Ktoś pobiegnie po inspektora.

– Tak zróbcie. Biedny stary głupiec – powiedział i skinął głową grupce mężczyzn, dając znać, że zamierza wrócić do swoich spraw. Za jego plecami nadeszli kolejni, tym razem z noszami.

Słońce zaczęło przygrzewać i każdy chciał zdążyć przed południem wypłynąć w morze – ryby w lukach źle znosiły upały. Mężczyźni przebierali w miejscu nogami, zniecierpliwieni.

* * *

Dla Thomasa widok martwego ciała nie był szczególnie szokujący. Brał udział w wojnie i widywał gorsze rzeczy. Mimo to zachował resztki współczucia – być może więcej niż mu się zdawało. Usiadł na ławce w łodzi, wyjął z kieszeni spodni pierśiówkę i rozmyślając o starym Irvingu, pociągnął spory łyk whisky. Nie był to alkohol wysokiej jakości i przypominał raczej czysty spirytus zmieszany z owczym serem niż prawdziwą whisky, ale nie stać go było na nic lepszego.

O samym Irvingu niewiele mógł powiedzieć poza tym, że był on o wiele starszy niż reszta i zachowywał się, jakby brakowało mu piątej klepki. Włóczył się po wiosce, utykając na lewą nogę i zaczepiał ludzi, opowiadając niestworzone historie: o morskich potworach czających się w głębinach, diabłach atakujących łodzie i syrenach, które swoimi urokami wabiły marynarzy. Nikt go jednak nie słuchał i ludzie najczęściej omijali go szerokim łukiem. Może tej śmierci dało się uniknąć, gdyby każdy nie był tak zajęty własnymi sprawami – pomyślał. Zakręcił i schował pierśiówkę z powrotem do kieszeni.

Chwytał za wiosło i odepchnął się od pomostu. Siłował się ze stawiającą opór wodą. Przez te wszystkie lata na morzu nabrał krzepy, godnej pozazdrosczenia przez młode pokolenie rybaków. Kiedy był młodszy, zdarzało mu się zniknąć na parę dni, wiosłując jedynie przy pomocy siły własnych ramion. Pamięta, jak ktoś w pubie stwierdził, że dawniej mężczyzn lepiło się z innej gliny – może było w tym nieco prawdy.

Wiosłował, żeby przebić się przez kołtuny wysokich fal, napierających na jego łódkę. Na wprost rozciągał się widok na całą wioskę: widział domy z ich małymi kominami i strużkami szarego dymu biegnącego lekko pod ukosem. Przystań, z której wypłynął, stała się małym cieniem regularnych prostokątnych kształtów.

Siedząc w niskiej łodzi, czasami tracił z oczu brzeg,

kiedy ciemne masy wody otaczały ją z każdej strony. Przebił się przez ścianę fal i morze nagle się uspokoilo. Wiatr był zbyt delikatny, żeby użyć teraz żagla. Gruby biały materiał zostawił leżący pod stopami. Ciemne chmury zawisły na niebie nad jego głową, czekając na kolejny prąd powietrza.

Zastanawiał się, co stary Irving robił na morzu. Dlaczego wypłynął, a przede wszystkim, czemu zrobił to w nocy? Nawet jeśli chciał coś złowić, to był za stary, zbyt schorowany – co on sobie myślał? Jego łódka – nieużywana od lat, była w opłakanym stanie.

Martwi głosu nie mają, pomyślał.

* * *

Thomas wrócił do przystani po południu, przygnany mocniejszym wiatrem ze wschodu. Użył żagla i nie musiał więcej wiosłować. Zadokował, objając łódkę o opony przytwierdzone do pomostu.

Niewiele tego dnia złowił – wystarczyło mu raptem na jeden posiłek. Ostatnie lata takie już były: wypływał każdego dnia, ale wracał prawie z niczym, więc i zarabiał marnie. Mieszkał sam i nie miał dużych potrzeb, chociaż czasem przyznawał sam przed sobą, że przydałoby mu się zreperować to i owo.

– Jak ryby? – powiedział ktoś z pomostu.

– Jak zawsze. Nie lubią mnie.

– Spróbuj sieci, zawsze coś się tam zaplącze.

– Jasne – odparł Thomas, ale wiedział, że mówi tak, tylko żeby zakończyć rozmowę – nie miał siły, żeby wyciągać pełne sieci. Plecy dokuczały mu co najmniej od siedmiu lat, od czasów, kiedy wrócił z wojny.

Zwinął żagiel, zabrał puste wiadro i ruszył ścieżką w górę do swojego domu. Zrzucił wszystko w ciemnej izbie i ciężko opadł na stare, skrzypiące łóżko. Zmęczony i spo-

cony zasnął w chłodnym pomieszczeniu, przykrywszy się jedynie cienkim kocem.

* * *

Wieczorem wcale nie czuł się bardziej wypoczęty. Stare ciało trudniej radziło sobie z wysiłkiem – tak to już jest. Napił się nieco wody z miski – tej samej, której używał do przemywania twarzy – i pomyślał, że będzie ją musiał uzupełnić, kiedy wróci. Ruszył ścieżką pod górę do jedyne go pubu w okolicy, gdzie schodziły się wszystkie lokalne pijaczyny. Można było tam też spotkać przyzwoitych rybaków – a przynajmniej do momentu, aż wypiją pierwszą butelkę.

Noc była chłodna, a październik dało się wyczuć w powietrzu. Za dnia słońce jeszcze przypiekało, ale nocę potrafiły zmrozić do kości. Tego wieczoru wiatr był bardziej przejmujący i przedzierał się do skóry nawet pod warstwami grubej koszuli i wełnianego swetra. Thomas pomyślał, że będzie musiał wygrzebać kurtkę i zakładać ją po zmroku, jeśli nie chce się zaziębić. Na niebie nie było widać gwiazd – czarne chmury zasłoniły nieboskłon jak ogromne wieko studni.

Budynek pubu był niewielki i przypominał zwykły dom, którym pierwotnie był, zanim nowy właściciel nie powalił murów oddzielających pokoje, a ścian nie pomalował na pomarańczowo. W oknach paliło się ciepłe i przyjemne światło, a z wnętrza dobiegał gwar i śpiewy. Rozpoczął się zimny okres i od teraz, każdego wieczoru ludzie mieli się tłoczyć w ciepłych pomieszczeniach pubu, aż znów nadejdzie wiosna. Każdy człowiek ma swój sposób na przetrwanie zimy: tutejsza osada lubiła zbijać się w grupę i wspólnie ogrzewać podczas długich nocy.

Thomas wszedł do środka. Wewnątrz panowało uderzające ciepło, a zapach tytoniu oraz świeżo nalanego piwa,

rozluźniał mięśnie i łagodził nerwy. Podłoga wyłożona była cienką warstwą siana, żeby uchronić ją od rozlewane go tu i ówdzie alkoholu, a każdego dnia rano – jak w stajni – barman widłami wyrzucał nasiąkniętą piwem wyściółkę za drzwi i wymieniał podłozę na suche i pachnące.

Thomas dołączył do stolika, gdzie rozsiadło się paru starców, przypominających grupkę sępów omawiających podział ofiary.

– Czołem panowie – powiedział.

– Właśnie czekaliśmy, aż się zjawisz – twarz najbliższego z nich się rozjaśniła.

– Inspektor się pojawił?

– Tak. Młody po niego pobiegł. Przyjechał powozem z paroma chłopakami i zabrali Irvinga. Kiedy wyjęli go z chłodni, wyglądał jeszcze gorzej niż rano – powiedział, kiwając głową.

– Inspektor był blady jak moja dupa – rzucił ktoś inny.

– Założę się, że ten cały inspektor nigdy nie widział trupa.

– A gdzie miał widzieć? Tam u nich nic się nie dzieje.

– Wiadomo, co mu się przytrafiło? Mam na myśli Irvinga – zapytał Thomas.

– Inspektor nic nie mówił, chyba starał się nie zemdleć. Ja stawiam, że nasz stary dziadyga po prostu zasłabł i wpadł do wody.

– No nie wiem. Od paru dni gadał dziwne rzeczy – powiedział rybak, który jako jedyny nie miał brody, tylko siwe, opasłe wąsy. Miał na imię Oliver i zawsze dziwnym trafem pojawiał się tam, gdzie można było wściubić ciekawski nos. – Mówił, że go coś wzywa, że popłynie w morze, ale nikt się tym gadaniem nie przejmował.

– Dziwisz się? Brzmiał jak pomylenieć.

– Może. Od tygodni siadał na klifie i gapił się w morze całymi wieczorami. Czasami, jak go spotykałem, to kazałem

mu iść do domu, bo się zaziębi i dostanie zapalenia płuc – ale on tylko patrzył na mnie tymi zamglonymi oczami, jakby go tam w ogóle nie było i dalej się gapił jak wcześniej.

Mężczyzna upił resztkę ciepłego piwa zalegającego na dnie.

– On znał jeszcze mojego ojca, wiecie? – kontynuował. – Słyszałem, że pamiętał początki osady, zanim zbudowano wioskę.

Nikt już nie słuchał rozprawy o początkach wioski, każdy znał tę historię: kilku rybaków, poszukujących nowego miejsca połowów zapuściło się w te okolice zupełnie przypadkiem. Niektórzy twierdzą, że zniósł ich sztorm i trafili tu zagnani falami. Okazało się, że tutejsze wody są bogate w ryby i zupełnie nieuczęszczane. Zbudowali parę prowizorycznych chat i zrobili z nich bazę wypadową. Po jakimś czasie rozeszła się wieść o nowym łowisku i kolejni rybacy przybywali z innych portowych miasteczek. Szybko pojawili się również handlarze, którzy zwęszyli okazję do zarobku i z czasem wioska stała się popularnym miejscem dla każdego, kto chciał spróbować swoich sił.

Większość mężczyzn mieszkała tutaj miesiącami, zanim sprowadzili swoje rodziny, a stare, rozdygotane chaty zamienili na porządniejsze, niekiedy nawet murowane domy.

– Za Irvinga! Panie świeć nad jego duszą – Oliver wznosił toast. Rybacy siedzący przy stole podnieśli w górę kufle z piwem, stuknęli z głośnym brzękiem pomiędzy sobą i wypili za zmarłego.

Drzwi pubu otworzyły się szeroko i wszedł przez nie wysoki, barczysty mężczyzna. Za sznur trzymał przewieszony przez ramię marynarski worek. Zrzucił go z głośnym tąpnięciem, kiedy podszedł do baru.

Był to Marcus Jameson, z Thomasem znali się od dawna, choć od lat ze sobą nie rozmawiali. Mężczyzna w oczekiwaniu na piwo rozejrzał się po pomieszczeniu, aż natrafił na

wzrok Thomasa i obaj szybko odwrócili się w przeciwnych kierunkach, jakby zobaczyli coś ohydneho. Pomiędzy nimi była zadra, o której żaden z nich nie chciał rozmawiać. Rybacy nie należą do ludzi rozprawiających o swoich uczuciach – na morzu nic one nie znaczą i sprowadzają tylko kłopoty.

Mężczyzna wziął piwo i usiadł na drugim końcu pomieszczenia z inną grupą rybaków. Ktoś siedzący w kącie wyjął skrzypce i zaczął grać. Melancholijna melodia wypełniła pomieszczenie, a rozmowy przycichły. Za oknem noc zrobiła się całkowicie czarna, a znad morza dał silny i zimny wiatr.

* * *

Być może spowodowało to piwo, a może zmęczenie, ale tej nocy Thomas miał niespokojne sny. Śnił, że siedzi w okopach, wśród błota i ludzi. Wokół panowała cisza. Nie wybuchaly żadne bomby, nikt nie strzelał z karabinów, a żołnierze siedzieli spokojnie na ziemi albo na kawałkach desek, paląc papierosy i rozmawiając pomiędzy sobą znużonymi głosami. Nie rozpoznał czy była noc, czy dzień – mgła rozpraszała delikatne światło, sprawiając wrażenie, że jest zarówno ciemno, jak i jasno. Wychylił się nad wałem, żeby spojrzeć czy po drugiej stronie zobaczy cokolwiek. Nie widział jednak wiele przez panującą wokół mgłę, a jedynym towarzyszącym mu odczuciem było wrażenie usuwającego się spod stóp błota. Kilka szcurów przebiegło po szczycie wału, niosąc w pyskach przedmioty przypominające ludzkie palce.

Nie wiedział, czy mgła, która go otacza, jest gazem, czy tylko parą unoszącą się z przeoranej ziemi.

Wspiął się na wał, ale nikt nie próbował go powstrzymać. Żołnierze siedzieli nadal na swoich miejscach. Na

granicy widoczności zobaczył sylwetkę, która przywoływała go w intensywny, ale niewytłumaczalny, podświadomy sposób. Uderzył go zapach chloru, tak bardzo świdrujący nos i charakterystyczny, że każdy, kto choć raz go poczuł, nie był w stanie go pomylić. Szedł przed siebie, brodząc w ciemnej cieczy, sięgającej mu coraz wyżej, aż do kolan. Dno było zamulone i szło mu się ciężko. Zatrzymał się, żeby zobaczyć, co jest za nim, ale nie widział nic poza oślepiającą bielą. Odwrócił się znowu w kierunku postaci i zauważył Młodego. Stał tam zwyczajnie, patrząc się w jego kierunku ze smutkiem na twarzy i czarnymi, pustymi oczami. Chciał krzyknąć do niego, żeby padł na ziemię, że jeśli tego nie zrobi, to z pewnością zginie, ale nic się nie wydarzyło. Potem oślepiający blask uderzył go w oczy, a chłopak zniknął tak samo nagle, jak się pojawił, a jego miejsce zastąpiła dziura przypominająca krater. Gdzieś tam walały się kawałki ciał. Odwrócił głowę, żeby nie patrzeć.

* * *

Obudził się nad ranem, przemarznięty do kości, trzęsąc się jak osika. Był mokry od pasa w dół, a między nogami plątały mu się glony. Dreszcze przebiegały po całym jego ciele, a ręce dygotały tak, że nie mógł ich opanować. Szpikulce bólu kłuły go w każdym centymetrze ciała. Wstał i rozrywając pętające go wodorosty, wrócił do swojego domu. Zdjął z siebie ubranie, zarzucił na plecy ciepły koc i rozpałił drewnem w niewielkim kominku.

Przestraszył się tej nocy nie na żarty – nigdy wcześniej nie lunatykował. Sen powoli zacierał się w jego głowie. Nie mógł zrozumieć, jak znalazł się na plaży i wszedł do wody. Czy utopiłby się, gdyby się nie obudził? Położył się przy kominku. Zasnął szybko i tej nocy nie nawiedził go już żaden sen.

BAJARZ

Listopad przywiał lodowate powietrze z północy. Słońce przygrzewało jeszcze w ciągu dnia, ale chłód poranków i wieczorów, przesywał zimnem nawet najgrubsze warstwy ubrań. Rybacy uwijali się, żeby jeszcze przed zimą zrobić zapasy – kolejne miesiące zapowiadały zastój. Mało kto był chętny wypływać w morze zimą, o ile w ogóle było to możliwe.

Thomas wstał tego dnia wcześniej niż zwykle. Z biegiem lat sypiał krócej, wstawał wcześniej, ale wcale nie czuł się bardziej zmęczony niż zwykle – ot kolejna przypadłość starych ludzi.

Poszedł do swojej łódki, taszcząc żagiel i wiadro z przyętami, ubrany w grubą kurtkę i podwójny sweter. Był przekonany, że jest to ta pora roku, kiedy jeśli nie zadba się o własne zdrowie, to ponosi się tego konsekwencje aż do najbliższej wiosny.

Widząc, że Thomas pakuje rzeczy do łodzi i zamierza wypłynąć w morze, podbiegł do niego Młody.

– Thomas! Wybierasz się gdzieś?

– Ano, miałem wypłynąć i trochę połowić. Ale jest sakramencko ciemno. Może mi trochę poświecisz?

– Jasne.

Chłopak odkręcił mosiężny zawór lampy naftowej i podszedł bliżej, święcąc Thomasowi do łodzi, żeby mógł ułożyć swoje rzeczy i przygotować ją do drogi.

– Myślałem, że już nie będziesz wypływał aż do wiosny – powiedział chłopak.

– Ja też Młody, ja też.

– Reszta wypłynęła już dawno temu.

– Ale ty nie popłynąłeś.

– Nie, musiałem już zostać. Matka gorzej znosi, jak się robi zimno, muszę przypilnować pieca.

– To dobrze – odparł Thomas. Poczł się trochę, jakby mówił do własnego syna. Zrobiło mu się przykro i miał wrażenie, że od śmierci Donny każdy dzień taki był: przykry i jakby gorszy. Wsiadł do łodzi i odepchnął się lekko wiosłem. Fale uderzając o pomost, chlupały delikatnie, a wokół panowała cisza, jeśli nie liczyć skrzeczających na klifach mew.

– Dbaj o siebie i o matkę – powiedział w kierunku chłopaka i zaczął wiosłować. Młody machnął w jego stronę ręką w geście pożegnania i odwracając się, wrócił do zbierania suchego drewna wyrzuconego na brzeg. Większość mieszkańców w podobny sposób szykowała się do zimy: chodząc po okolicznych plażach i zbierając wyrzucone na brzeg kawałki suchego i oszlifowanego wodą drewna. Niektórzy kupowali gotowy opał, ale nie każdego było na niego stać. Życie na wyspie nauczyło ich, że jedyną rzeczą, na której mogli polegać, było morze – choć często niebezpieczne, dostarczało im wszystkiego, czego potrzebowali.

Tamtego dnia fale były wysokie i Thomas wiedział, że przebicie się przez ich front będzie go kosztowało sporo wysiłku.

Łąd kurczył się powoli, a łódź to wznosiła się wysoko, to znów opadała i czasem miał wrażenie, że morze chce go

połknąć. Fale trącały łódź tak, że chwiała się z jednej strony na drugą i mało brakowało, a morska woda wlałaby się przez burtę. Wiatr był silny i zimny, co akurat mu nie przeszkadzało. Ucieszył się, że nie będzie musiał wiosłować w drodze powrotnej.

* * *

Około południa poczuł się zmęczony i zdrzemnął się w łodzi. Bał się, że zacznie lunatykować i wpadnie do wody. Nie pamięta, żeby śnił, ale czuł, jak łódź kołysała go, podobnie jak matka kołysze dziecko w wózku, osłaniając przed wiatrem.

Obudził się godzinę później i usiadł na ławce, czekając, aż weźmie ryba. Coraz częściej uciekał w sferę marzeń, niemal sennych. Zastanawiał go wczorajszy sen i dlaczego nawiedził go akurat teraz. Nie lubił wspominać czasów wojny, a tym bardziej o nich śnić. Myśli o wystrzałach i śmierci wołał zostawić w przeszłości, tam, gdzie jest ich miejsce. Rozmyślenia o tym, co by było, gdyby losy potoczyły się inaczej, tylko go frustrowały, ale dni takie jak ten: mroźne, pochmurne – zdawały się przywoływać wszystko, co kryło się głęboko w zmęczonym umyśle. Czasami małe szczegóły przypominały mu o tych wydarzeniach i nie mógł odpędzić od siebie obrazów. Choć niewiele pamiętał – jego mózg zatarł wiele ścieżek – to wrażenie strachu i przytłoczenia wracało.

Odegnał od siebie potok myśli jakby machnięciem dłoni. Zobaczył w oddali stado wielorybów i zahipnotyzowany obserwował je, kiedy wynurzały się na powierzchnię, aby wystrzelić w górę fontannę wody. Potem zniknęły pod taflą i więcej ich tego dnia nie zobaczył.

Przeszło mu przez myśl, że jest kiepsko przygotowany do zimy: nie ma drewna, ani zapasów. Kiedy śnieg i lód skuwał

całą wyspę na tych kilka zimowych miesięcy, przeważnie nie wiedział, co ze sobą począć. Nie chciał, jak większość rybaków, przesiadywać całych dni w pubie, grając w karty i przepijając pieniądze, których i tak nie miał. Zamiast tego ogrzewał się w domu, przepalając od czasu do czasu w kominku i czytał książki, na które zazwyczaj nie miał ochoty w inne pory roku. Przyznał, że wieczorne picie w pubie może i bywało zabawne, ale jego konsekwencje sięgały dużo dalej niż do dna trzymanego przed twarzą kufła. Zbyt wielu z jego znajomych alkohol pochłonął całkowicie.

Doskwierała mu samotność. Każda zima była znośna, kiedy mieszkał tu z Donną, ale te czasy przeminęły – zachorowała i Śmierć szybko się o nią upomniała, pozostawiając go samego. Nie miał nikogo, z kim mógłby dzielić czas.

Wspominał ją ostatnio częściej, jakby wkrótce miał się z nią spotkać, podobnie jak myśli się o dawno niewidzianym przyjacielu, z którym lada chwila zobaczymy się na wspólnym obiedzie.

Thomasowi i Donnie odpowiadało życie na wyspie. Oboje pochodzili z dużego miasta. Skończyli dobre szkoły i kariera w metropolii zapowiadała się dla nich korzystnie – mimo to wybrali wspólne życie w miejscu zapomnianym przez Boga. Myślał czasami, czy nie byłoby dla nich lepiej, gdyby wtedy nie wyjechali.

Ocknął się z zamyślenia, bo cienką linkę szarpnęła ryba. Chwyił wędkę obiema rękami i delikatnie pociągnął ku górze, nawijając żyłkę na szpulę. W końcu szarpnął mocniej i był pewien, że hak utkwiał głębiej i ryba już mu się nie zerwie. Wybrał resztę linki i wyciągnął niedużych rozmiarów makrełę. Srebrzyste łuski zabłyszczały mimo chmur zakrywających słońce. Wiła się i rzucała chwilę po pokładzie, a potem zastygła bez ruchu.

– Na długo to ty mi nie wystarczysz – powiedział, chwytając ją delikatnie i wrzucił do pustego wiadra.

Rozłożył żagiel i napiął linki. Usiadł na rufie i opierając się o ster, kierował się ku lądowi gnany mocnym wiatrem.

Już z daleka Thomas zauważył, że w przystani brakuje łodzi i kutrów.

O tej porze marina była zazwyczaj wypchana po brzegi różnego rodzaju łodziami: od małych podobnych do jego, przez większe z dużymi żaglami i małym lukiem na ryby, aż po różnej wielkości kutry – zarówno spalinowe, jak i te posiadające żagiel. Teraz dostrzegął zaledwie parę mniejszych jednostek.

Przede wszystkim uderzył go brak kutra Marcusa – dużego, drewnianego i pomalowanego na czerwono bydłęcia, który mimo starej konstrukcji posiadał, oprócz żagla, silnik spalinowy, a na dachu nadbudówki jaśniał biały komin. Był on zawsze charakterystycznym elementem przystani. Marcus znany ze swojej rosłej postawy i ogromnej krzepy zawsze wracał pierwszy z pełnym lukiem ryb. Dzisiaj jednak brakowało nawet jego.

Dopłynął do brzegu i pocąc się, wyciągnął dziób łodzi na piasek, aby fale nie zabrały jej z powrotem w morze. Nie dokował jej w przystani, bo ta zawsze wydawała mu się ciasna i nie lubił z niej wypływać. Uważał, że plaża dawała mu więcej swobody, a poza tym mógł unikać ludzi, z którymi nie miał ochoty akurat tego dnia rozmawiać. Lubiał te dni, kiedy w ciszy i spokoju wypływał sam, a potem wracał i zajmował się własnymi sprawami w domu czy na spacerze.

Wszedł na pomost, żeby się rozejrzeć, ale nie mógł dostrzec na morzu ani drobiny, która by przypominała statek. Ostatni handlarze rybami już zabierali stąd swoje kłamoty.

– Czołem, coś mało tych kutrów – rzucił w kierunku

mężczyzny przechodzącego obok i wyglądającego na handlarza.

– Ano, jechałem szmat drogi, a tu nic. Nie mogę dłużej na nich czekać.

– Wiesz, co się stało? To do nich niepodobne.

– Nic nie wiem. Tylko tyle, że jak do południa nie wrócili to albo złapali coś dużego, albo się rozpiłi na pokładzie. Żadne z tych nie wróży nic dobrego.

– Jasne – odpowiedział Thomas.

Handlarz miał rację, gdyby złapali coś naprawdę dużego, może rekina, mogli wrócić nawet wieczorem. Na pewno nie wierzył w to, że wszyscy upili się do nieprzytomności na swoich łajbach – żaden z nich nie był aż tak głupi, żeby kusić morze. Nie pozostało mu nic innego jak zatańczyć swoje rzeczy do domu i przejść się wieczorem, żeby sprawdzić, czy wszyscy wrócili. Pub był do tego najlepszym miejscem.

Słońce już zachodziło, kiedy wspinał się do swojego domu na wzgórzu. Pomyślał, że na wiosnę przydałoby się pomalować budynek, bo farba odlazła już niemal całkowicie. Będzie musiał najpierw zedrzeć stary tynk i położyć nowy i zastanawiał się, czy Młody nie mógłby mu w tym pomóc.

Mimo popołudnia zrobiło się już ciemno. Wszedł do czarnej izby i rzucił żagiel na podłogę pod ścianą. Zapalił małą, naftową lampkę i popatrzył na misę stojącą na taborecie, która jako jedyny przedmiot lśniła w ciemności. Wziął ją do ręki i wyszedł na zewnątrz do studni, z której nabrał wody w wiadrze i przelał do misy. Napił się z niej i napełnił ponownie. W przyszłym roku zacznie brać ze sobą butelkę wody na łódź – jeśli nadal będzie w kondycji, żeby łowić. Brak wody do picia na morzu stawał się dla niego coraz większą przeszkodą, a nie chciał zasłabnąć i utopić się jak stary Irving.

Ciepłe i delikatne światło rozświetlało izbę. Thomas zdjął z siebie mokre ubrania i przebrał się w suche. Zapalił w kominku, żeby się ogrzać i kiedy zrobiło się ciepłej, usiadł na łóżku, przystawiając sobie lampę, aby poczytać. Osunął się jednak z książką na oparcie i zasnął ze zmęczenia. Twardo oprawiona książka opadła mu na pierś.

* * *

Obudził się wieczorem. Ogień w kominku dogasał i został tylko delikatny żar, który nie ogrzewał już izby. Lampa paliła się nadal, ale Thomas spostrzegł, że zaczyna brakować nafty. Uzupełni ją, kiedy wróci z pubu – tak przynajmniej postanowił w myślach, choć jego postanowienia najczęściej nic nie znaczyły. Robił wiele planów, ale zazwyczaj sprawy toczyły się inaczej i nic z tego nie było. Jego dom z odłazającą wszędzie farbą i łódź, której przydałby się porządny przegląd, były doskonałymi tego przykładami.

Za oknem było całkowicie ciemno i księżyc nadal chował się za chmurami. Okna trzeszczały pod naporem silnego wiatru, a gdzieś na zewnątrz kawałek blachy trzepotał i grał smutną melodię. Thomas miał wrażenie, jakby świat się dla niego zatrzymał. Nie miał najmniejszej ochoty wychodzić z domu, ale był ciekaw czy kutry wróciły z połowów. Jedynym miejscem, gdzie mógłby się tego dowiedzieć był pub. Bezpowrotnie minęły czasy, kiedy mógł zwyczajnie wypytywać o takie rzeczy Marcusa. Od śmierci Donny miał wrażenie, że usunął się, bądź został odsunięty, na ubocze życia społecznego.

Byli z Marcusem przyjaciółmi, kiedyś, w zamierzchłych czasach. Przed wojną pracowali wspólnie na jednym kutrze razem z dwoma innymi mężczyznami. Tamci jednak szybko zrezygnowali, uznając, że nie jest to życie dla nich. Jednak Thomas i Marcus łowili dalej. Na kutrze nie musieli rozma-

wiać, pracowali ciężko i rozumieli się doskonale. Pot, krew i ciężka praca przekuła ich znajomość w prawdziwą przyjaźń.

Z biegiem czasu Marcus wykupił kuter od jego właściciela i zatrudnił Thomasa, żeby nadal pracowali razem, ale już na własny rachunek – to on był zawsze tym bardziej przedsiębiorczym, a Thomasowi wcale to nie przeszkadzało – zarabiali sporo.

Łajba była obszerna i mieściła sporych rozmiarów luk. Posiadała nieduży podnośnik, z którego skorzystali raz, łowiąc imponujących rozmiarów rekina, ale postanowili, że więcej tego nie powtórzą – oporządzenie i rozparcelowanie musieli przeprowadzić na kutrze i zajęło im to cały dzień. Co prawda zarobek był całkiem sensowny, ale wymagał od nich pracy w ciężkich warunkach. Podstawą jednak było łowienie w sieci i kiedy obaj mieli jeszcze siły, potrafili wracać z pełnym lukiem ryb.

Thomas wyrwał się z rozmyślań, ubrał się ciepłej i wyszedł na zewnątrz.

* * *

Ruszył ścieżką za domem, która prowadziła stromo w górę, ale była krótsza. Pomyślał, że pozwoli mu się to trochę rozgrzać i rozruszać zastane po śnie mięśnie. Kiedy był już na szczycie pagórka, obejrzał się. Przystań była jednak zbyt ciemna, żeby mógł dostrzec łodzie i kutry. W oddali widać było tylko latarnię morską, powoli obracającą się i rzucającą blask w kierunku morza – teraz ciemnego i bezdusznego. Na falach nie unosiły się żadne światła.

* * *

Wszedł do pubu, gdzie już od wejścia został przywitany i zaproszony do jednego ze stolików. Ludzie go lubili i chętnie z nim rozmawiali, choć nie zawsze miał na to ochotę i coraz częściej unikał spotkań z dawnymi znajomymi. Dzisiaj jednak chciał się dowiedzieć czegoś o rybakach, którzy nie wrócili po południu, więc dosiadł się do stolika, po drodze dając barmanowi znak, żeby przyniósł od razu dwa piwa. Chciało mu się pić, a piwo zawsze porządnie przepłukiwało mu przełyk.

– Siadaj Thomas – rzucił ktoś znad stolika. – Jak ryby?

– Kiepsko. Parę makreli i jeden rdzawiec – odpowiedział Thomas, nie wiedząc, dlaczego skłamał w tej sprawie. Skoro to było dla niego kiepsko, to co pomyśleliby, gdyby powiedział im prawdę? Przeszło mu przez myśl, że nie chce, aby inni odnieśli wrażenie, że jest już słaby, albo niedołyżny. – Pewnie zjem to na dniach i będę musiał jeszcze połowić, zanim przyjdzie zima.

– Każdy się teraz szykuje. Masz jeszcze sól? Nie potrzebujesz czegoś?

– Nie, nie, jest dobrze. Powinno wystarczyć.

Thomas chciał zapytać o kutry, ale mężczyźni rozgadali się pomiędzy sobą tak, że nie mógł wtrącić ani słowa. Ktoś w rogu izby zaczął grać na skrzypcach tą samą, smutną melodię co poprzednio.

Przeszło mu przez myśl, że nie ma pojęcia, kim jest skrzypek.

– Kutry już wróciły? – zapytał wreszcie.

– Masz na myśli Marcusa i pozostałych? Chyba jeszcze nie, a przynajmniej ja nic nie wiem.

– Ty nigdy nic nie wiesz – wtrącił inny. – Nie, nie wrócili jeszcze. Każdy myśli, że złapali coś dużego, ale nie chce mi się wierzyć, żeby potrzebowali aż tyle pomocy, żeby nie wróciły, chociażby mniejsze łodzie.

– A pamiętasz, jak kiedyś złapaliśmy długoszpara? On

chyba ważył z tonę. Nie mogliśmy go wyciągnąć z wody, a podpływały inne rekiny, które chciały się nim zająć.

– Tak, ale wtedy pomogły nam inne kutry. Łodzie były nieprzydatne, bo co niby miały zrobić? – odparł mężczyzna siedzący po drugiej stronie stolika.

– Nie martw się Thomas, na pewno wrócą do rana.

Thomas pomyślał, że mężczyzna musiał być podobny wiekiem do Irvinga. Chociaż nie mógł sobie przypomnieć jego imienia. Irvinga znał każdy – łąził po wiosce, witał się z ludźmi, a jego dziwne zachowanie zwracało uwagę. Ale poza nim było wielu starców, którzy obracali się w towarzystwie znanym tylko sobie. Nie interesowało ich nawiązywanie znajomości i mieli na tyle oleju w głowie, żeby nie grać wariata, błakając się nocą po okolicy.

Skrzypce ucichły na chwilę, po czym znów podjęły smutną melodię. Tym razem mężczyzna grał starą pieśń, której Thomas początkowo nie rozpoznał, ale im dłużej jej słuchał, tym bardziej wiedział, czym ona jest.

Była to opowieść o syrenie, nieszczęśliwie zakochanej w rybaku.

Pewnego razu mężczyzna ten wypłynął w morze i spotkał piękną syrenę. Pomogła mu złowić pełne sieci ryb w zamian za jednego całusa – to była dla niej jedyna forma zapłaty. Rybak wrócił do domu i stał się bogaty, a cena była zawsze ta sama: pocałunek dla syreny. Z czasem poczuł do niej odwzajemnioną miłość. Jednak bogactwo, którego doświadczył, nie pozwoliło mu zrezygnować z życia na łódzie – syrena bowiem pragnęła, żeby zamieszkał z nią na dnie oceanu, gdzie był jej dom i rodzina. Człowiek ten bał się zrezygnować z bogactw i kiedy dziewczyna odmówiła mu dalszej pomocy – pochwycił ją razem z innymi rybami i sprzedał na targu – bogacąc się jak nikt przedtem.

Syrena przeklęła go za to, co zrobił. W efekcie klątwy

stała się człowiekiem, a bogaty rybak zamienił się w ogromnego rekina.

Pieśń kończy się opowieścią o tym, jak rekin został zabity i zjedzony przez ludzi, a pół kobieta, pół ryba, będąc teraz człowiekiem, zmuszona została do życia na lądzie, płacząc co wieczór i tęskniąc do rodziny. Nie mogąc wrócić do morza, gdzie był jej dom, w końcu rzuciła się z klifu na ostre skały i zginęła. Od tej pory syreny nienawidzą rybaków i mordują ich w okropny sposób, wcześniej nęcąc swoimi urokami.

– Przestań rzępolić te historie o syrenach! – krzyknął Oliver. – Ciemno, zimno, ponura pogoda, a ten jeszcze historie o syrenach gra. Tfu! – splunął na podłogę.

– Znasz tę opowieść? – zapytał Thomas.

– Tak, uważam, że rybak powinien wiedzieć o takich rzeczach. Różne cholerstwa czają się w morzu.

– Ja tam nie wierzę w te zabobony – odpowiedział ktoś przy stoliku.

– A nie wierz sobie, ale jak cię co porwie w toń, to sobie przypomnisz o wszystkich legendach świata.

Mężczyzna obruszył się i odwrócił głowę, popijając dalej piwo.

– Coś taki narwany? – spytał Thomas.

– Bo ludzie to głupki. U mnie w rodzinie zawsze opowiadało się te historie. Ojciec mi mówił o różnych rzeczach i przestrzegał. Jego ojciec, a mój dziadek, podobnie. Cała nasza rodzina zna te legendy. A niektóre wydarzyły się naprawdę.

– Bzdury tam gadasz. Jak to naprawdę? – obrażony mężczyzna się ożywił.

– A powiem ci zaraz, bo widzę, że rozum twój daleko nie sięga.

– Mój rozum jest na odpowiednim miejscu. To ty wierzysz w jakieś diabły i syreny.

– Opowiedz coś w takim razie – zachęcił go Thomas.

– Mogę opowiedzieć, tylko piwa bym się napił – odpowiedział mężczyzna. Thomas podsunął mu jedno ze swoich piw, a ten podjął znowu:

– To akurat usłyszałem od mojego dziadka, nieżyjącego już zresztą. Ojciec jeszcze dycha, ale akurat tej historii nie chciał mi opowiadać, bo twierdził, że są to niebezpieczne słowa. Nie wiem, co miał do końca na myśli, ale ja mu ufam, bo mój stary dużo w życiu widział.

Thomas pomyślał, że jego ojciec naprawdę musiał być stary, Oliver nie należał już do młodzieniaszków.

Pociągnął spory łyk piwa i głośno beknął. Każdy czekał w milczeniu, aż będzie kontynuował. Mężczyzna po chwili łyknął jeszcze raz z kufła i podjął:

– Mój dziadek był jednym z pierwszych, którzy się sprowadzili. Przyjechał najpierw sam, bez babki, bo nie wiedzieli, czy coś z tego będzie. Miał zostać tylko na kilka miesięcy, połowić i zarobić trochę grosza, a potem wrócić. Z czasem okazało się, że jest na tyle dobrze, że ściągnął babkę do osady, podobnie jak inni pościgali swoje, no i tak się to wszystko zaczęło. Sprowadzało się coraz więcej rybaków, niektórzy od razu z rodzinami, aż zaroiło się tu od nich, bo każdy, kto wypływał w morze, wracał z rybami. Te nasze chaty są już stare i nie wyglądają może najlepiej, ale mówię wam, że wtedy zarabiali całkiem niezłe sumy. Teraz też źle nie jest, ale wtedy...

Mężczyzna na chwilę jakby się zamyślił. Ludzie przy stoliku zaczęli się nudzić opowieścią o pierwszych osadnikach, bo każdy znał tę historię doskonale z opowieści ich własnych dziadków i ojców.

– Dobra, a co z tymi syrenami? – ktoś zapytał.

– No tak, rozgaduję się, a nie o tym miało być – mężczyzna mówił dalej. – No więc sprowadzili się tutaj i ło-
wiło im się dobrze. Pieniądzy mieli w bród i nie mogli na nic

narzekać. Ale pewnego razu ryb zrobiło się jakby mniej. Na tyle mało, że musieli zacząć łowić tylko dla siebie i nie mieli czego sprzedawać kupcom przybywającym z głębi wyspy. Ryb było niewiele, niektóre dość marne – ledwie wiązali koniec z końcem. Wtedy wymyślili, że popłyną dalej na północ, żeby znaleźć nowe łowiska. Zapakowali zapasy, bo nie wiedzieli, kiedy wrócą, a potem popłynęli skoro świt. Nie było ich parę tygodni. Mój dziadek z nimi nie płynął, bo uważał, że to problem, który się sam rozwiąże, że muszą dać trochę odpocząć łowiskom i przeczekać trudny okres. Oni jednak nie chcieli go słuchać, i tak z dnia na dzień wioska niemal wyludniała. Zostały tylko ich żony i dzieciaki, a także niektórzy starcy.

Mężczyźni siedzący przy stole patrzyli w zamyśleniu, a to pod nogi, a to w puste dna swoich kufli, gdzie resztką ogrzanego piwa bardziej ich brzydziła, niż zachęcała do wypicia. W rogu izby skrzypek podjął kolejną melodię, tym razem jednak znacznie ciszej i delikatniej, jakby sam przysłuchiwał się opowiadanej historii.

– Rybacy nie wracali przez te kilka tygodni, tak jak mówiłem – mężczyzna ciągnął dalej. – Ale pewnego dnia wrócił tylko jeden kuter. Zdziwicie się trochę, kiedy wam powiem, ale na tym kutrze była tylko jedna osoba i był nią właśnie stary Irving.

Wszyscy popatrzyli po sobie z niedowierzaniem.

– Głupoty gadasz. Jak to tylko Irving wrócił? – podjął jeden z rybaków. – Jak niby wioska przetrwała, składając się tylko ze starców, kobiet i dzieci?

– Nie przerywaj mi, to może się dowiesz – odpowiedział Oliver. – Nie musicie wierzyć w to, co mówię. To jest historia, którą opowiadał mój dziadek i ja mu ufałem. Jak kto nie chce słuchać, to może iść gdzieś indziej.

Wszyscy siedzieli cicho, nikt już nie protestował.

– Tak, Irving był na starość wariatem, ale był też kiedyś

młodym chłopakiem. Choć od czasu jak wrócił, to w tej jego głowie się trochę pomieszało. Był jedyną osobą na tym kutrze i opowiadał o szalonych rzeczach. Twierdził na przykład, że popłynęli bardzo daleko w morze, tak że lądu nie było widać z żadnej strony, a lodowe tafle pływały wokół nich. Podobno niektórym z rybaków ręce przymarzły do burt i kiedy je odrywali, zostawiali kawałek swojej skóry przytwierdzony do metalu. – Zrobił krótką przerwę na łyk piwa i opowiadał dalej:

– Płynęli tak, aż dotarli do małej wysepki. Kiedy tylko ją zauważyli, zaczęła gęstnieć mgła i mieli problemy z nawigowaniem. Część z kutrów od razu zaczęła wpadać na ostre szpikulce wystające z wody. Dużo ludzi znalazło się w lodowatej toni i to przesądziło o ich losie. Tak zimna woda nie dawała nadziei, że ktokolwiek mógł to przeżyć. Kuter Irvinga nie miał żadnego wyboru jak tylko dotrzeć do tej wysepki albo może raczej skały, którą mieli przed sobą. Jakoś im się udało i nawet zacumowali u jej wybrzeża. Ale potem historia Irvinga była coraz dziwniejsza.

– Jakby dotąd nie była – podszeptał ktoś przy stole.

– Mówił, że słyszał dziwne dźwięki z jaskini, która była położona nad samym brzegiem morza. Krzyki i piski, a potem piękne śpiewy. Już po powrocie opowiadał, że to były syreny, tak bardzo się na nie uparł, że nikt nie mógł mu tego wybić z głowy. A potem co rusz tracił przytomność, mówił o tych istotach, ale też o jakichś diabłach, plugawych potworach. Nie potrafił powiedzieć, jak wrócił ani co stało się z pozostałymi rybakami. Od tamtej pory był taki właśnie jak to Irving: pomyłony. Zaczął chodzić po wiosce i naga-bywać ludzi. Każdy go unikał, a on zawsze dziwnie patrzył w morze. Tak przynajmniej opowiadał mi dziadek, a ojciec aż wzdrygał się na tę historię.

Kiedy mężczyzna rozejrzał się wokół siebie, okazało się, że nie tylko ludzie przy jego stoliku siedzą pochyleni,

słuchając historii. Inni też przysiedli się do nich i nadstawiali uszu. Każdy z kuflem pełnym piwa, niektórzy z całymi butelkami whisky – słuchali uważnie opowieści. Nawet skrzypek siedzący w rogu izby przestał grać.

– To tyle. Ojciec potem zabronił mi o tym słuchać i opowiadać, bo twierdził, że dziadkowi też się zmysły pomieszały.

Opowieść zakończyła się ciszą, która trwała jeszcze jakiś czas, aż skrzypek podjął swoją grę, tym razem w znacznie weselszym tonie. Ludzie rozeszli się do swoich stolików, zajmując się własnymi sprawami, ale echa opowieści odbijały się od ścian jeszcze przez resztę nocy, a barman zamknął pub dopiero nad ranem, kiedy ostatni klienci wychodzili z niego chwiejnym krokiem albo na czworaka.

SPIS TREŚCI

1. Trup	1
2. Bazarz	11
<i>O autorze</i>	29

O AUTORZE

Ronan Weaver — autor literatury grozy i opowieści, które rodzą się nad ranem, przy kubku mocnej kawy. Fascynuje go ludzka natura oraz to, co ukryte w cieniu codzienności, niedostrzegalne w pośpiechu dnia. To jego debiutancka książka, ale pisanie towarzyszy mu od zawsze. Uwielbia nocne niebo, w którym szuka ciszy i inspiracji do swoich historii.

www.ronanweaver.com

contact@ronanweaver.com

